

JULJAN TUWIM  
SIÓDMA JESIEŃ

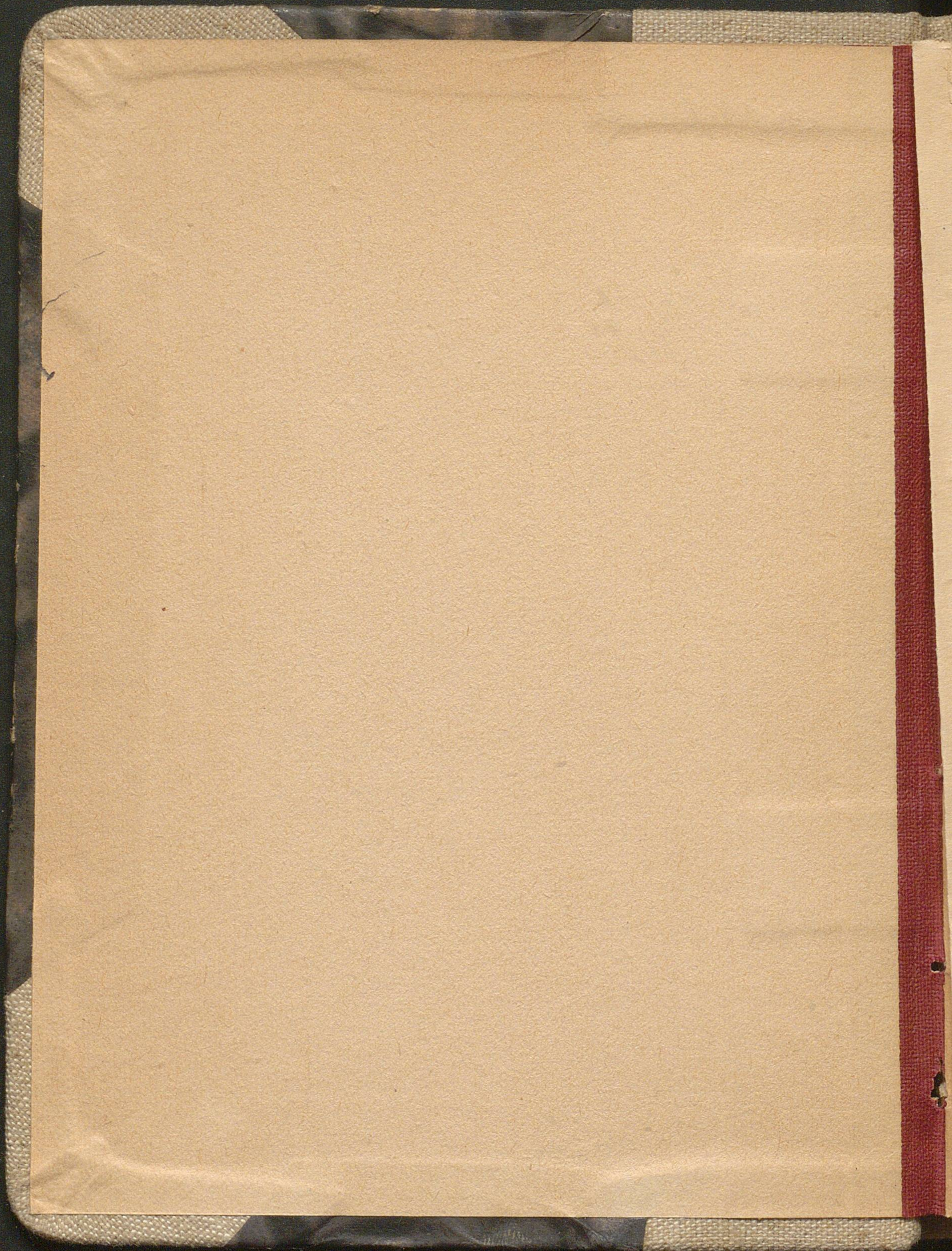
411

454



TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS”  
WARSZAWA 1922

411



SIÓDMA JESIEŃ



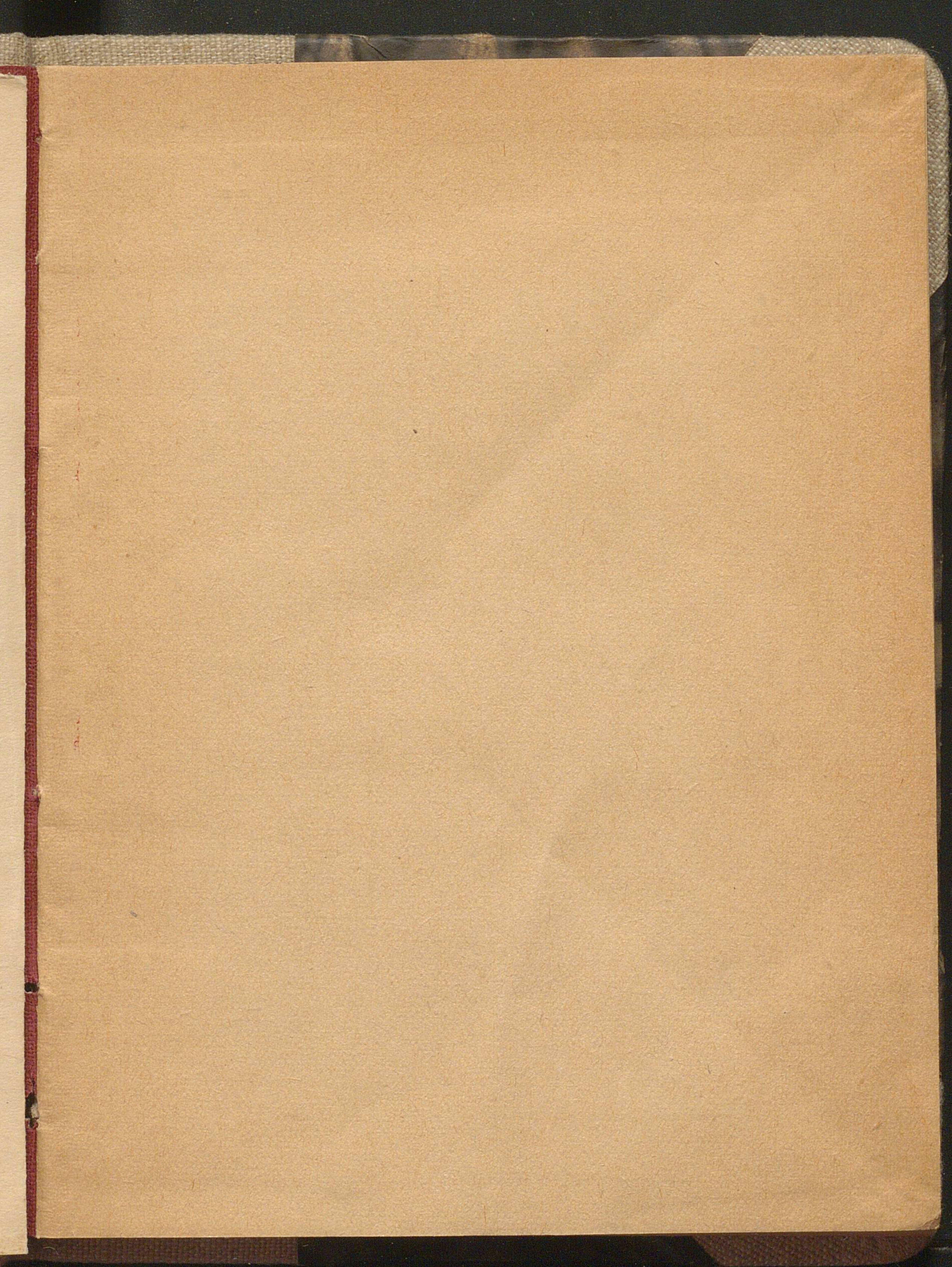
JS

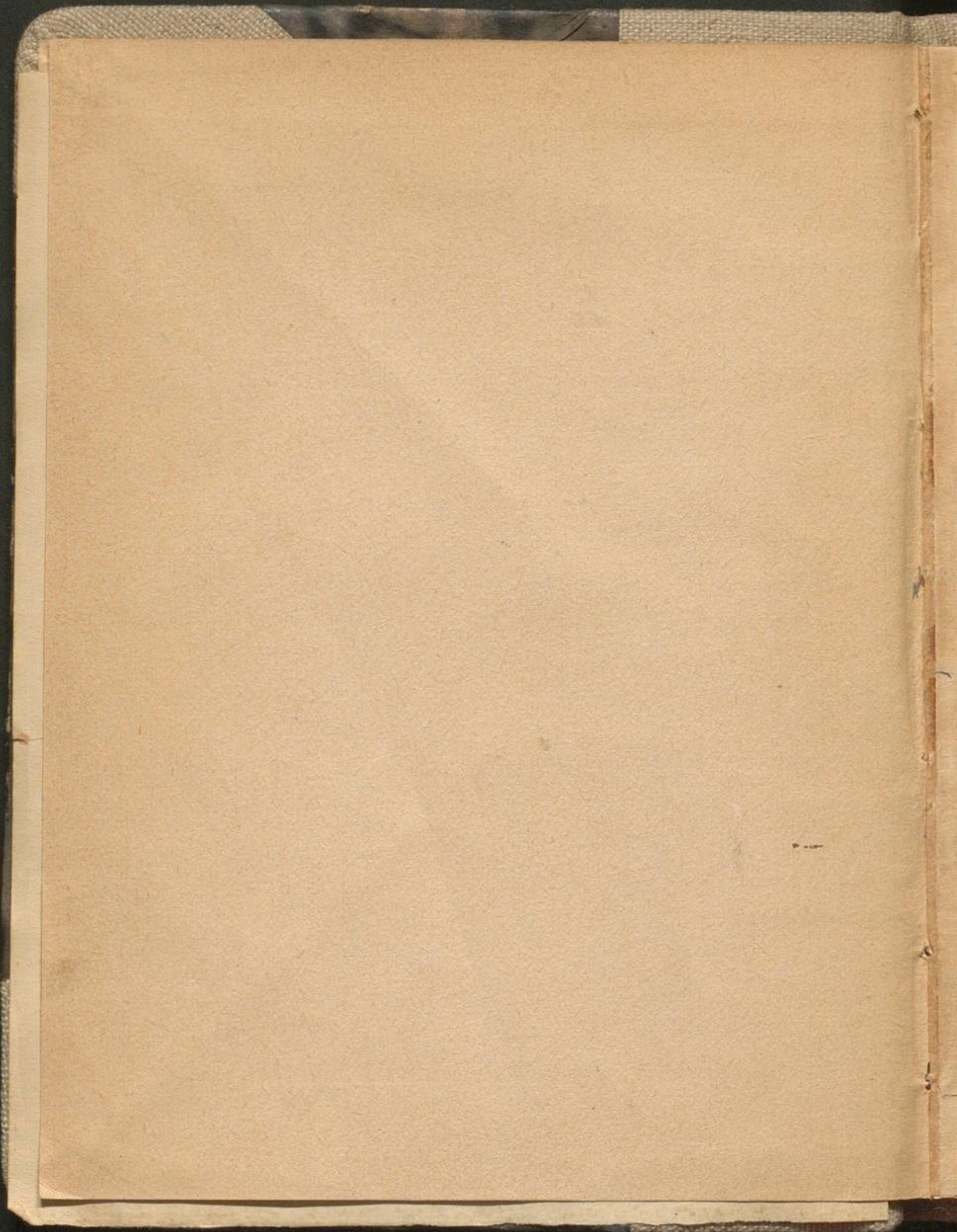
JULJANA TUWIMA:

CZYHANIE NA BOGA — WYDANIE III

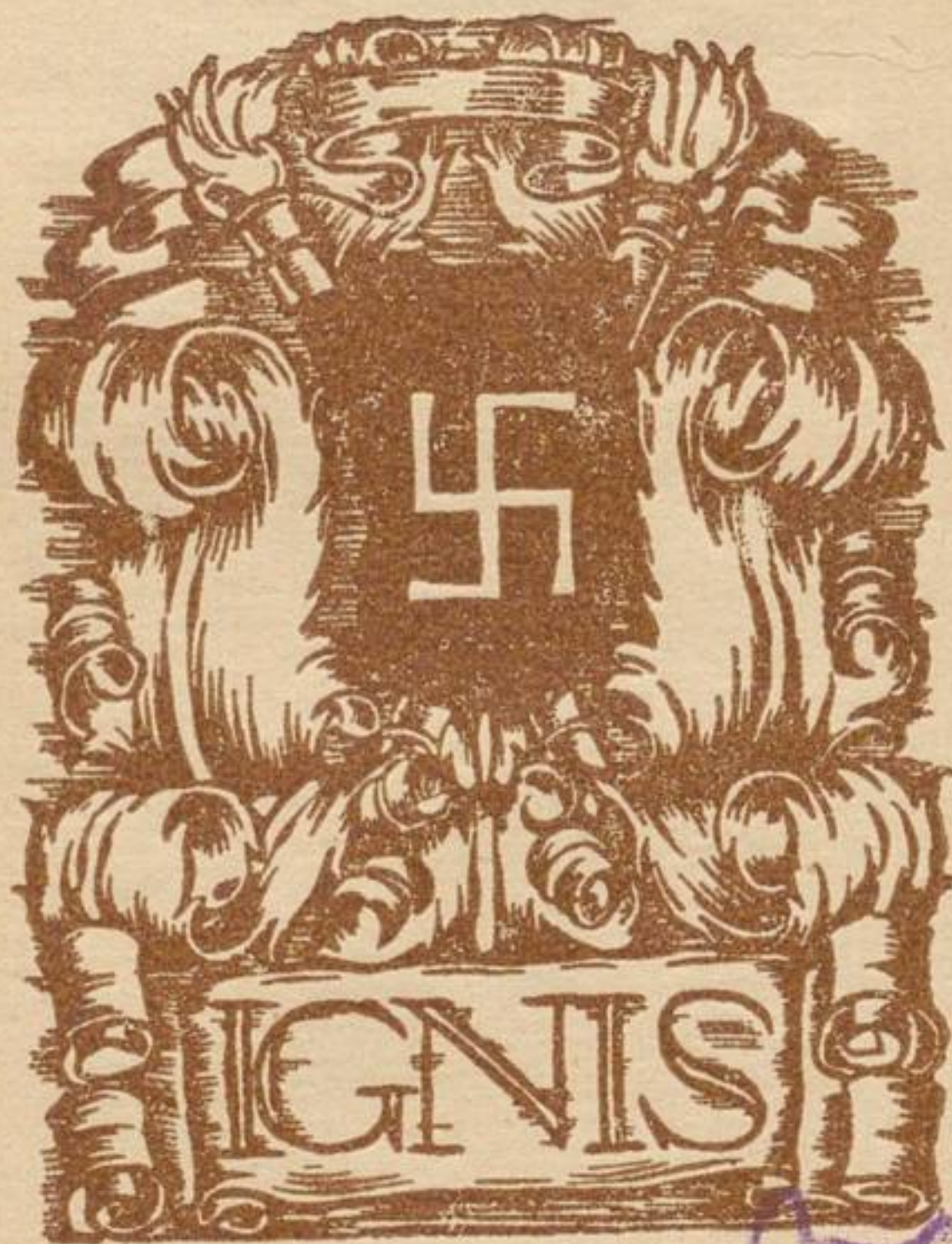
SOKRATES TAŃCZĄCY „ II

LIRYKA ROSYJSKA (BALMONT I BRIUSOW)





OKŁADKĘ RYSOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI  
ODBITO TRZY TYSIĄCE DWIEŚCIE EGZ. NA  
PAPIERZE BEZDRZEWNYM, ORAZ SZEŚĆ  
EGZ. NA PAPIERZE CZERPANYM  
W DRUKARNI NARODOWEJ  
W KRAKOWIE



1846

*J.*



411



*Niema ziemi i nieba, otchłani i piekła  
Jest tylko Beatrycze...*

*Jan Lechoń*



1503.810

1946 D 1823/134

- Oddać ci wszystko: każdy sen i drgnienie,  
Każdy nerw ciała, każdy ruch i krok!  
Przeszłość — to tylko o tobie wspomnienie,  
Przyszłość — to tylko twój najświętszy wzrok!

Oddać ci wszystko: każde pulsu tętno  
I grosz ostatni i ostatek sił,  
Trwonić dla ciebie swą młodość namiętą,  
Znaczyć ci drogę — krwią serdeczną z żył!

Zaprzeć się! Błuznić! Z Judaszem paktować,  
Żwir na twej drodze w miękki piasek gryźć,  
Natchnioną wiarą zakrzyczeć: „Ach, prowadź!“,  
Gdy mi na własną każesz zgubę iść!

Å potem — oddać ci ostatnie tchnienie,  
Skonać spokojnie, wiernie u twych nóg,  
I, wstecz spojrzawszy, wierzyć niewzruszenie,  
Że tak — za Ciebie-m tylko umrzeć mógł.

Miałem słoneczny gościniec  
I biały, cudny dom...  
Smutno jest sercu mojemu,  
Smutno jest moim snom...

I było okno w mym domu  
Za dawnych, dobrych lat,  
Patrzałem sobie, patrzałem  
W daleki, cichy świat...

Może tam byłem dzień jeden,  
A może cały wiek...  
Wiem tylko, że kiedyś rano  
Bieluchny opadł śnieg.

I śnieżnie, biało, dziecinnie  
W słońcu się śmiał mój dom!  
Smutno jest sercu mojemu  
I dawnym, białym snom...

Uderzył wieczór złoty  
W czarowne okien szyby,  
Coś mi się dziwnie marzy:  
— A gdyby? a gdyby?

Coś było... Wieś zielona,  
Sad, ławka pod modrzewiem...  
Ach, gdybym dzisiaj wiedział!  
— Lecz nie wiem... lecz nie wiem...

A czy to zmierzchem było?  
Tak... jakoś o wieczorze...  
A jeśli — — ? nie... bo przecież...  
— A może... a może...

A jeżeli nic? A jeżeli nie?  
Trułem ja się myślą złudną,  
Tobą jasną, tobą cudną,  
I zatruty śnię:  
A jeżeli nie?  
No to... trudno.

A jeżeli coś? A jeżeli tak?  
Rozgołębią mi się zorze,  
Ogniem cały świat zagorze,  
Jak czerwony mak,  
Bo jeżeli tak,  
No to... — Boże!!

Moje życie miało imię dziewczęce,  
Imię jasne, jak konwalje pierwsze,  
Rwane w trawie błyszczącej o świetle  
Przez lilijne szopenowe ręce.

Tem imieniem, promieniami tkanem,  
Lśniące liście leśne szeleściły,  
Bzy majowe, zroszone perliście,  
Tem imieniem pachniały kochanem...

A gdy niebo zwolna wieczorniało,  
Gdy przez wyże wiała cisza polna,  
W ciepłym wiewie i w jaskółczym świrze,  
W każdym drzewie to imię szumiało.

...W opalowym mgieł zmierzchowych dymie  
Coś rozwiało się obłokiem zwiewnym,  
Smętkiem rzewnym duszę rozśpiewało:  
Jakże było memu życiu na imię?

Rzuciłbym to wszystko, rzuciłbym odrazu,  
Osiadłbym jesienią w Kutnie lub Sieradzu.

W Kutnie lub Sieradzu, Rawie lub Łęczycy,  
W parterowym domku, przy cichej ulicy.

Byłoby tam ciepło, ciasno, ale miło,  
Dużoby się spało, częstoby się piło.

Tam koguty rankiem na opłotkach pieją,  
Tam sąsiedzi dobrzy tyją i głupieją.

Poszedłbym do karczmy, usiadłbym w kąciku,  
Po tem, co nie wróci, popłakał po cichu.

Pogadałbym z Tobą przy ampułce wina:  
„No i cóż, kochana? Cóż, moja jedyna?”

Żal ci zabaw, gwaru, tęskno do stolicy?  
Nudzisz się tu pewno w Kutnie lub Łęczycy?”



Nicbyś nie odrzekła, nic, moja kochana,  
Słuchałabyś wicheru w kominie do rana...

I dumiała długo w lęku i tęsknicy:

— Czego on tu szuka w Kutnie lub Łęczycy?



— Taki to już los mój będzie,  
Takie to już miłowanie:  
Przywitanie, pożegnanie,  
Pożegnanie, wspomnianie...  
Oczy twoje widzę wszędzie,  
Oczy twoje mnie całują,  
Z dali, z dali mnie miłują,  
Z dali, z dali mnie żałują,  
Nie przychodzą na wzywianie,  
Jeno błyszczą, jak w legendzie,  
W dali, w dali, zewsząd, wszędzie,  
— Taki to już los mój będzie,  
Takie to już miłowanie:  
Przywitanie... pożegnanie...

— — — — —

— Już mi jest wszystko jedno,  
Czy powiesz „nie“ czy „tak“,  
Jeno mi Ciebie bardzo brak,  
Jeno mi Ciebie strasznie brak!  
...Żal gnębi duszę mą biedną.

Ach przyznam Ci się, — muszę! —  
Że wolę „nie“ niż „tak“!...  
Ale mi Ciebie bardzo brak,  
Ale mi Ciebie strasznie brak!!  
...Żal gnębi biedną mą duszę.

Å w serce coraz głębiej  
Wpija się rdzawy hak —  
I tak mi Ciebie bardzo brak!!  
I tak mi Ciebie strasznie brak!!!  
...Żal biedną duszę mą gnębi.

Wyratuj ty mnie z męki,  
Wyratuj z grzechu mego,  
Już słów mi brak dla Ciebie,  
Już spojrzeń brak i żalów,  
Już noc się we mnie mroczy,  
Wyratuj ty mnie z męki,  
Wyratuj z grzechu mego,  
Już wypłakałem oczy,  
Już powiedziałem wszystko:  
Z szaleństwa i z udręki,  
Jak pies, błagalnie szlocham,  
Z tęsknoty mej i męki  
Rozpaczą ciebie Kocham,  
Boleścią ciebie Kocham,  
Uratuj ty mnie z męki,  
Grzechem już jestem, grzechem  
I krwią i zbrodnią tajną,  
Męką ty jesteś moją,  
A byłeś mi uśmiechem

I gwiazdą i konwają,  
Grzechem na ciebie patrzę,  
Oczy się ciebie boją,  
Bo jesteś męką moją,  
A jam cię chciałem wypłakać  
Przez tysiąc długich nocy,  
Ale minęły noce  
Płakane, nieprzespane,  
I cóż mi pozostało?  
Łzy straszne, jak sieroce,  
I żale i niemoce  
I nic i nic prócz tego,  
Prócz krzyku i udręki,  
— Wyratuj ty mnie z męki,  
Wyratuj ty mnie z męki  
I z grzechu, z grzechu mego!

Nie mogę Ci powiedzieć, jaki to żal bezbrzeżny:  
Dzień dzisiaj taki biały i taki bardzo śnieżny...

Nie mogę Ci powiedzieć, jak mi  
ogromnie smutno!  
Ale Ty pewno nie wiesz, co znaczy  
słowo „smutno“...

Ach, pewno nie wiesz także, co znaczy  
„żal bezbrzeżny“...  
To nic... to nic nie znaczy... Dzień taki  
cichy, śnieżny...

To takie moje słowa, co Ciebie mi zabrały...  
A może i przyniosły...  
...Dzień cichy dzisiaj, biały.

Śnieg pada... pada bezgłośnie...  
Patrz — — śnieg...  
Na duszę dziewczęcą Twoją  
Całunem legł...

Bielutko. Cicho. Szczęśliwie.  
Śnieg — — patrz...  
Bezgłośnie ozwie się w duszy  
Serdeczny płacz...

A wtedy zagraj przesmętnie  
„Valse triste“...  
Śnieg pada... pada... Już kończę  
Mój dziwny list.

Zadumy moje ciche, zadumy młodej skroni,  
Powiedzcie jej, powiedzcie, że nie pamiętam  
o niej...

...Powiedzcie jej, powiedzcie, że bardzo tęsknię  
do niej.

Westchnienia me, westchnienia, popłyńcie tam  
gdzie ona,  
Powiedzcie jej, powiedzcie, że nie wiem już kto  
ona...

..Powiedzcie jej, powiedzcie, że serce z żalu  
kona.



Niczyj ja jestem na świecie,  
Niczyj, jak trawa lub źródło,  
Jam jeno Twój jest i Boży,  
Jam Twój.

Jam jeno Twój jest i Boży,  
Dzień za dniem podążam w dal,  
Jasnemu Bogu spowiadam  
Swój żal...

I cicha jest spowiedź moja,  
I ciche są moje łzy,  
I Bóg mój jest wielką ciszą  
I Ty...

Dzień za dniem na Przyjście czekam,  
By mówić o żalu znów,  
I płynie smutna rozmowa  
Bez słów...

Dzień mój się kończy modlitwą,  
Wspominam jasnymi sny...  
Wspomnienie o moim Bogu —  
— To Ty...

Ty trzymasz mnie na ziemi,  
Ty wznosisz mnie do nieba,  
Tyś jest mi tutaj wszystkim,  
Poco aż tam iść trzeba.

O Tobie wiem jedynie  
I tylko Ciebie umiem.  
Na świat machnąłem ręką:  
I tak nic nie zrozumie!

Co krok — to nowa droga!  
Co myśl — to otchłań wrząca.  
Ty jedna odpowiadasz,  
Mówiąca czy milcząca.

Krwi słucham twego serca,  
Bijącej w białej piersi  
I trwam miłością błędną  
W tem życiu, pełnem śmierci.

Tylko te chłodne, pogodne,  
Przewiewne ranki jesienne,  
(Liljowe astry jesienne)  
Senne, łagodne,  
Gdy w miłym szarem niebie  
Wzrok rozczulony tonie:  
Te ranki, te są dla Ciebie.  
Byś w miękko wysłanym pokoju  
Z liściasto-ptasią tapetą,  
Blado-błękitna,  
W tym właśnie dzisiejszym stroju,  
Przez okno patrzyła spokojnie  
Na miłe niebo jesienne,  
A na stoliku w wazonie  
Niech będą astry liljowe,  
Liljowe astry jesienne.

Wyglądasz zupełnie, jak tajemnicza  
nieznajoma z wagonu.  
Patrzę — i w myślach trzepoce mi romantyczne  
porwanie,  
Tyle lat trwa moje słodkie nierozczarowanie,  
Tyś moja, — moja do zgonu.

Nie wiem, jak myśleć o tobie — a cóż dopiero  
Słowem  
Chwycić cię w uścisk (z daleka) w złotej  
ulewie czułości!  
Tymczasem pokój nawiało ciepłym powietrzem  
akacjowem  
I, oddychając, śmieję się i płaczę z miłości...

Stoję na balkonie,  
Załamam dłońie  
I w kwietniowym niebie  
Szary wzrok mój tonie.

Bzy mi zapachniały,  
Żale mnie owiały,  
Twarz mi ojedwabia  
Wiew znieruchomiały.

Zmierzch się wiewem żali,  
Żeśmy się rozstali,  
Przymkniętymi oczy  
Widzę ciebie w dali:

Stoisz na balkonie,  
Załamiałaś dłońie  
I w kwietniowym niebie  
Modry wzrok twój tonie.

Wiem... Siadłaś teraz przy oknie  
I patrzysz...  
Kasztan pożółkły przed Twem oknem stoi  
I liście roni... jesienne liście...  
Deszcz kropi... kasztan moknie,  
Wiem: siadłaś teraz przy oknie,  
Jesienią Ci się w dobrych oczach smutki,  
Te Twoje smutki: dziwne... przypomniane...  
Lecą, lecą z kasztanu liście,  
Powiedłe, obłąkane,  
Szelestnie naziem się kładą,  
Żałobnie... złociście...

— A może świeci słońce?

— — — — —  
A ja wiem, że Ty myślisz o mnie,  
Bo byłem u Ciebie wczora...  
Pamiętasz? Smuciłem się ogromnie,  
Bom miał od Ciebie jechać,  
(...Cichości, cichości jesienna...)





Takaś ty już zmęczon ,

Senna,

Główka na bok się przechyla,

Łza w oczętach załśniła — — —

— Ach, o czymżeś się zamyśliła?

— Ach, czemużeś się zasmęciła?

I ja tu taki samy...

Ja też...

Tak się już dobrze znamy,

Tak się już dobrze znamy...

— Wiesz?

— — Leca z kasztanu liście,

Żałobne, obłąkane,

Naziem się kładą złociście,

A kasztan moknie, moknie,

Siedzisz moja dobra, przy oknie,

Siedzisz, moja miła, przy oknie...

— A może świeci słońce?

„Du holde Kunst, in wieviel  
grauen Stunden“...

(*Pieśń Szuberta*)

A możebyśmy tak, jedyna,  
Wpadli na dzień do Tomaszowa?  
Może tam jeszcze zmierzchem złotym  
Ta sama cisza trwa wrześniowa...

W tym białym domu, w tym pokoju,  
Gdzie cudze meble postawiono,  
Musimy skończyć naszą dawną  
Rozmowę smutnie nie skończoną.

Do dzisiaj przy okrągłym stole,  
Siedzimy martwo, jak zakłęci!  
Kto odczaruje nas? Kto wyrwie  
Z nieubłaganej niepamięci?

Jeszcze mi ciągle z jasnych oczu  
Spływa do warg kropelka słońca,

A ty mi nic nie odpowiadasz  
I jesz zielone winogrona.

Jeszcze ci wciąż spojrzeniem śpiewam  
„Du holde Kunst“... i serce pęka!  
I muszę jechać... więc mnie żegnasz,  
Lecz nie drży w dłoni mej twa ręka.

I wyjechałem, zostawiłem.  
Jak sen, urwała się rozmowa,  
Błogosławiłem, przeklinałem:  
„Du holde Kunst! Więc tak? Bez słowa?”

Ten biały dom, ten pokój martwy  
Do dziś się dziwi, nie rozumie...  
Wstawili ludzie cudze meble  
I wychodzili stąd w zadumie...

A przecież wszystko — tam zostało!  
Nawet ta cisza trwa wrześnie...  
Więc możebyśmy tak, najmilsza,  
Wpadli na dzień do Tomaszowa?...

(2) \*)

Dni złotych iskierek we krwi, złotych iskierek w oczach.

Wracam ze szkoły po list lila, list pachnący Twoją dala, list, którego nigdy nie było. Potem, z uśmiechem w mózgu i kropelką Twych perfum na wardze, oddaję się, jak śmierci młodszej, weśnieniu w wieczór wczesnej jesieni w parku. (O, jakżem blisko był wszystkiego, za czem zmęczone tęsknotą oczy moje biegną teraz na wieczne niezdobycie!). Rytmiczny namiętny szept serca wybija wyraźne chwile: już nie dzieciństwa, jeszcze nie młodości męskiej. Słodka palpacja, zamieranie rozkochanych słów i krótki nagły płacz, po którym krzywda dyktuje fantastyczne listy. (Wrzucałem je do skrzynki pocztowej tak, jakgdybym naciskał guzik, powodujący eksplozję świata). Potem —

---

\*) Z cyklu „Legenda aurea“.

ką w ciemnym korytarzu i gorące wtulenie mokrej drżącej twarzy w wiszące na haku szare palto uczniowskie: jak rośna gałąź majowego bzu, pieści mnie ta zapłakana, uperfumowana kłapa szynelu. Nazajutrz — biegnę ze szkoły, zdyszany, po list lila, list pachnący Twoją dala, list, którego nigdy nie było.

(3)

Było to wtedy, gdy ranki jesienne szumiały smętnie niedoświadczonymi snami o przyjeździe i wahały się pomiędzy tajemniczym zapachem Twojej sukni i przejmującą melancholją młodziutkiej tęsknoty.

Wciskam się, senny i pełen jeszcze nocy, w kąt, na ostatniej ławce. Hieroglify fanatycznych wierszy w bruljonie, zamazywane wstydliwie.

Miljon jednakowych myśli: gdyby! gdyby! gdyby!

Kilka słów Twoich dawnych, słów kapryśnie-obojętnych, ukrywa (bezsprzecznie!) poematy, dla mnie w głębi dziewczęcego serca tworzone, a przemilczane. Niebacznie przysłany płatek róży (jeszcze go mam!) staje się oczywistym dowodem, że wcałowałaś weń usta

swoje, wcałowałaś tęsknotę za mną. (Wszystko w tajemnicy). Z „serdecznych ukłonów“ na głupiej pocztówce — płyną natychmiast hymny Twojej miłości. (Ostrożnie odklejam markę, pod którą leży skarb: dotknięcie Twych warg). Czczę zabobonnie święte fetysze: szpilkę od włosów, martwy płateczek pachnącego groszku, wizytówkę rumuna (!!...„Mademoiselle! En désirant faire Votre connaissance“ etc... Tiberiu Pauceanu). Fotografja, zatarta od łez i pocałunków, zakrawa na bluźnierczy cud: jest kwitnącą Tobą. Imię Twoje pachnie grzechem i tuberozą, wieści o Tobie tajemniczeją w apokryfy, i coraz groźniej i okrutniej przeczuwam złotą burzę szczęścia pod szeleszczącą w ponury wieczór jesienny aleją lipową...

Były to obłąkane pogańskie dni, kiedy po raz pierwszy duszkiem wypilem w zamkniętym na klucz pokoju buteleczkę brunatnej wódki i gdy, otrząsnąwszy się mściwie, w uniesieniu rzuciłem czterem ścianom przekleństwo, wyduszone gwałtem z gorejącego gardła.

5)

Bardzo mnie zadziwił ostry świst lokomotywy, która Cię w dal zabrała. Błyszcząca stalowa lokomotywa zabrała legendę. Dziwy.

To, że Cię niema, że wymyśliłem Cię tylko zamkniętymi oczyma, stało się wkrótce denerwującym pewnikiem.

Denerwującym przez wspomnienia.

Czyhałem na nie chciwie, niewolnik rocznic, cierpiętnik każdego wczoraj, marzyciel jednakowych jutro. Zaczęła się chytra rekonstrukcja wszystkiego, co choćby cieniem cienia Twego było, dziesiątem echem.

Odbudowywałem nieistniejące sytuacje; lotne przemknienia starałem się tyrańsko przeciągać w czasie, utrwalając to, czego nie było; z fanatyczną zaciekłością powtarzałem kilka nic nie znaczących słów, dziecinniałem w szep-



tanych dialogach z fotografią; pracowicie chwytalem garściami wodę.

W letnie wieczory (— pomyśl! pomyśl! —) szukałem na ulicy białego boa, złotych, modrozłotych oczu. Wierzyłem, że ostatecznie znaleźć muszę, gdyż (— Boże! Boże! —) znów wrócić do domu i z kropelką Twych perfum na wardze oddać się znów jeno weśnieniu w wieczór wczesnej jesieni w parku, jak śmierci młodzieńczej? Znów płacz serdeczny, spazm niepowstrzymany? Znów w beznadziei zasiąść do pisania któregoś tam listu, na który mi listem lila, listem pachnącym Twoją dalą, nie odpowiesz, Legendo, Legendo moja?

Wiedziałem, że znaleźć muszę. I znalazłem. Późną nocą na pustej ulicy. Stanałem.

Jak światło przez szkło, przepłynęłaś przeze mnie: wieczną, prawieczną melodją.



(12)

„Złota legenda“. A jak to było?

Wyjechałaś — i zaczęła mi pierzchliwą wizją majaczyć nieprawdopodobna Twoja uroda: pierwszym wzniesieniem oczu po pierwszym pocałunku na roztańczonej wiatrem ulicy; potem — jakimś kołyssem, który był Tobą; scherzem, które było Tobą; mną — który byłem Tobą.

Oczy miałem smutne, usta uśmiechnięte sennym uśmiechem trzepocącego w głowie snu motyla. Lekko było, drżąco i wtędo. I ciepłoniebiesko-wiosennie. Kolońską wodą co rano mocno nacierałem głowę.

A czyś Ty się doprawdy, tam, daleko, tak kołysała sobą, legendując muzyką cudownych ruchów, szopenizując niewysłowionym wzrokiem?

Czyś doprawdy spoglądała stamtąd, zda-

leka, zapłakana, wolno, wolno przechylając  
głowę w tył, i przymykałaś oczy, myśląc o mnie,  
idącym do domu po list lila, list pachnący  
Twoją dala?

Taką Cię widziałem smutnemi osiemnasto-  
letnimi oczyma. Siedem wiosen przeszło mi  
serce od tych pierwszych dni kwietniowych,  
a te oczy o całą wieczność są już smutniejsze,

Były dni, które je tam na zawsze rzuciły.

Dziwem pamięci wskrzeszona, mgławisz się,  
ty Melodjano ze straszego miasta, pyłem zło-  
tej, straconej baśni; żyjesz niemożliwością,  
z której powstałaś.

I w nią się obrócisz.

Rozciągnęła się nuda nad nami,  
Zatroskały się serca okrutnie,  
Bo poczuliśmy śmierć nad głowami:  
Zaszumiała tak cicho... tak smutnie...

Z ciemnych ulic wracamy do domu  
I coś korci nas, w duszach nurtuje;  
Nie mówimy o niczem nikomu.  
Samo stanie się. Każdy poczuje.

...Siedzą chmurni, stroskani przy świecach,  
I my przy nich siadamy w milczeniu,  
Nagle... ciarki przebiegną po plecach...!!  
Cisza. Każdy utonął w wspomnieniu.

O, powiedzmy choć! O, już nie kryjmy!  
O, zapłaczmy głęboko, rozpacznie!  
...Później snem biało-śnieżnym zaśnijmy,  
Może miłość znów śnić nam się zacznie...

Może serca nam pękna z żałości,  
Żeśmy byli tak bardzo szczęśliwi!  
Żeśmy żyć nie umieli w miłości!  
Może rozpacz nas, rozpacz ożywi!!...

...Ale siedzą stroskani okrutnie,  
I my z nimi, i Nuda nad nami...  
Zaszumiała nam cicho i smutnie,  
Zaszumiała nam Śmierć nad głowami.

Do twej piersi, twej piersi dziewiczej, przytulilem rozpaloną głowę: bije ci serce, bije, żąda przeze mnie krzyczy, oczy przed tobą kryję. Przytulilem głowę rozpaloną do twej piersi dziewiczej, okrągłej: krzyk, krzyk, długi, przeciągły, płoną mi usta, płoną, jak ślepiec szukam, szukam, pachniesz tak oszołomie, chodź, chodź do mnie, młoda, ramionami owiję, ustami na usta wskoczę, bije ci serce, bije, spójrz mi w oczy — spójrz — zgadnę — o, usta w ustach, o serce na sercu, — trwoga! Ratuj! Ratuj! ( — chwila — ). Coś światem targa, rwie, krzyczy, w konwulsji się wije, spłonmy, spalmy się, ratuj, coś jeszcze żyje!! Ratuj! Bije ci serce, bije... Wargi broczą, broczą purpurowe... Biała, słyszysz? Krzyczy!

— Przytulilem rozpaloną głowę do twej piersi, twej piersi dziewiczej.

Nie wiesz o tem. A był deszcz  
I błądziłem po ulicy  
I szukałem i czekałem  
W żrącej, okrutnej tęsknicy.

Nie wiesz o tem. Byłem zły.  
I poszedłem pić. I piłem:  
Wódkę, koniak, wódkę, koniak,  
I wesół, och wesół byłem!

Patrzaj: to jest nędzny wiersz,  
Ale zły jest, zły i gniewny,  
Bo czekałem, bo szukałem  
W wieczór jesienny, ulewny...

Uparła się moja tęsknota,  
Uparł się dziki mój żal,  
Że muszę ciebie zobaczyć.

A była słońca jesienna,  
Słońca...  
(Litość miej! Wyjdź!)

Pod oknami twojemi chodziłem,  
(Rozpaczy kamienna!)  
I z żalu wyłem, jak pies!  
Bo uparła się moja tęsknota,  
Bo uparł się dziki mój żal,  
Że muszę ciebie zobaczyć...

Trzeba było się chyba zsobaczyć:  
Upokorzyć się prośbą haniebną,  
Iść tam do ciebie — prosić!!  
Co? Na klęczkach cię błagać,



Wstyd najstraszniejszy znosić!  
Tego chcesz?  
— Byś mnie pogardą zaczęła smagać,  
Dziewko!!  
Bym ryczał, skamlał, jak zwierz:  
Litość miej!!  
A tobie, psiakrew, nieochota!  
A tobie w rozpaczey mej  
Przeszkadza słota:  
Mokro... mgła... chlupot błota!...

...A uparła się moja tęsknota,  
A uparła się moja tęsknota!...

— Ciemnych irysów dostałem pęk,  
Nie wiem od kogo.  
Serce me drżący ogarnął lęk,  
Ciemnych irysów dostałem pęk  
I patrzę na nie z dziecinną trwogą:  
„Co też te kwiaty przynieść mi mogą?”  
— Lęk.

I list dostałem. Słowa: „Bez słów”  
Jeno w nim były.  
...Jak tchnienie dawnych najdroższych bzów,  
Żal mi przyniosły słowa: „Bez słów”...  
Śród wspomnienia słodkiej bezsiły  
Znów mi się oczy twoje przyśniły,  
Znów...

Śniło mi się coś dziwnego:  
Była aleja długa,  
Akacje kwitły  
(Białe akacje),  
Pachniało.  
Było modro... Było biało...  
Słoneczna smuga  
Po długiej biegła alei,  
Był ranek... ranek wczesny,  
Był szczęścia sen bezkresny,  
Sen szczęścia i nadziei...  
Kwitły akacje,  
Pachniało,  
Było modro... było biało...  
Szedłem z oczyma na niebie,  
Szedłem — jakgdybym do Ciebie  
Szedł w dal...

— — — — — — — —

Nie śniło mi się nic,  
Nie śniło mi się nic,  
Lecz gdyby mi się śniło,  
Toby tak ślicznie było!...  
A teraz — żal...

Warto, warto żyć...  
Wtedy pachniałaś bzami,  
Dziś znów kupiłem flakonik,  
Roztarłem kroplę na dłoni  
I przeszłość wieje nad nami  
Bzami.

Warto, warto żyć.  
Mgławo jest za oknami,  
Zaraz listonosz zadzwoni,  
Ustami przypadam do dłoni,  
Całuję cię twojej woni...  
Przyjedziesz — będziemy sami,  
Jedyni i zakochani,  
Chłonąc z czułością perfumy  
W miłym uśmiechu intymnej zadumy:

„To my? Ja — i ty?”

Wiesz? Wzdycham... I przez łzy  
Powtarzam: warto, warto żyć...

- Ty jesteś moją żoną, to we krwi mojej tłucze  
Popłochem, szczęściem, strachem, radością  
i wyskokiem!

Zamieram i wybucham, triumfem wrę i huczę,  
I płynę w dal obłokiem i pędzę w dal potokiem!

I myślę i wspominam i przypominam sobie  
I modlę się i płaczę i ludziom ściskam dłonie  
I śmieję się do siebie, i nie wiem sam co robię  
I ze wzruszeniem mówię: ja z żoną, żona, żonie...

Błękitno-złota moja! Wiosenna i jesienna!  
Ty, codzien po raz pierwszy ujrzana i kochana!  
Spójrz, proszę, w oczy moje: ta sama moc  
niezmienna,  
Ta moc, co jeno rzuca w pokorze na kolana!

Przyszła ciszą miłosierna ksieni:  
Siódma jesień — najzłotsza, najśłodsza  
Z wszystkich złotych i słodkich jesieni.

Moja jedna — jedyna — kochana!

Przyszła ciszą — drogą długich cieni,  
Naszyc cieni od dawnych jesieni,  
I wszeptła się w nas, zadumana...

Moja jedna — jedyna — kochana!

Tyś ta sama — o siedem lat młodsza,  
Prześwietlona, wypatrzona wzrokiem,  
Smętniejącym w życiu z każdym rokiem  
I stęsknionym tej świętej jesieni,  
Co na zawsze się w dusze wpromieni!...

No i przyszła — najśłodsza, najzłotsza,  
Przyszła ciszą — drogą naszych cieni...

Jeno patrzeć — a park się rozsłumi,  
Moja jedna — jedyna — kochana!  
Jeno patrzeć — a lata dziecięce,  
Moja jedna — jedyna — kochana,  
Zaniemówią w nas szczęściem i trwogą  
I wzruszeniem nam głos się przytłumi  
I ściśniemy po raz pierwszy ręce,  
Co już nigdy się żegnać nie mogą!  
I znów, drżeniem z przed laty wzruszeni,  
Rozwiośnimy się w piewszej jesieni,  
Moja jedna — jedyna — kochana,  
Zawsze tamta i zawsze ta sama,  
Z mojej pierwszej i siódmej jesieni!



Doprawdy, żyję bardzo. Ale ja właściwie  
Mam w życiu migotliwem jedną myśl jedynie,  
Napiętą, jak cieniutka strzała na cięciwie:  
Zmienić się w linję.

Jak na wodzie, nawznak się na życiu położę,  
Bez myśli i bez woli promiennie popłynę,  
Prosto — prosto — nijako — utonę w przestworze  
I w oczach twoich zginę.

Siostr-wiosno! Siostr polna dziewanno!  
Chwiejna dziewanno miła,  
Wiosno oczu!... jasna panno!...  
Ty — świt czerwcowy,  
Słoneczny, leśny, rozćwierkany!  
Ty — sen, z promieni, konwalji i śnieżnych  
gołębi utkany,  
Ty — przymknienie oczu i zalew jasnych myśli!  
Ty — uśmiech szczęśliwej niewiedzy!  
Myśl — Tak — Duch zakwitł —  
Słowo ciałem się stało —  
Usta mówią Boga —  
Płyną nieskończone awemarje —  
Słowa im nie poradzą...  
Może całować ziemię?  
Może matkę?

Najgłębszą głębią ducha, gdzie majestat boży  
Ukrył cel ostateczny: wielkie Zrozumienie,  
Gdzie doczesność nie trafia, przeciwność nie  
trwoży,  
A głębia sobą żyje, jak mądre milczenie.

Najgłębszą głębią ducha zrozumiałem życie,  
I już się myśli moje złego nie ulękna,  
Nie pragnąc cnoty jawnie ani grzechu skrycie  
I nie wiedząc, co znaczy brzydota i piękno.

Lecz jeżeli mi w duszy sen zakwita czysty,  
Tęskniąc ku pięknu słońca, marmuru i kwiatów,  
Doskonałości ładu — idei Artysty —  
Ujmującej harmonją świat i świat zaświatów:

Wtedy się Miłość moja na wszechświat rozplywa,  
A piękno mistrzów — bożą staje się nauką,  
I dusza w zachwyceniu natchnionem przyzywa  
Ciebie, Dziewczyno moja, nieśmiertelna Sztuko!

Przyjdiesz nocą. Zostaniesz do rana  
I otulisz mnie miękko ramiony.  
Ja ci powiem: o, moja nieznana.  
Ty mi powiesz: o, mój wytęskniony.

Będiesz moja. Ustami się wpiję  
W wargi twoje, od nocnych róż krwawsze,  
Obłąkany szal szczęścia przeżyję,  
Ale umrze coś we mnie na zawsze.

Zacałuję cię sobą! W pierścieni  
Splot drgający zakuję twe ciało,  
I usniemy rozkoszą zmęczeni  
I niepomni, że wszystko się stało.

Obudzimy się. Ciężką nienawiść  
W głuchych duszach bez słów poczujemy,  
Zło nam w oczach zaświeci, jak zawiść,  
I jak gład będzie smutek nasz niemy.

Ale nocą znów przyjdiesz. Do rana  
Będiesz słodko mnie tulić ramiony,  
Ja ci powiem: o, moja nieznana!  
Ty mi powiesz: o, mój wytęskniony.

Jesteś z mężem w Zakopanem,  
A ja z Łodzi listy piszę,  
Listy czarne, umęczone.

Mąż twój słynny jest poeta,  
A ja, śmieszny, chudy chłopak,  
Piszę czarne, ciężkie zdania.

Mąż twój świetnie jest ubrany,  
Uczesany, wygolony,  
I codzień bieliznę zmienia.

A ja, czarny i nerwowy,  
Wykrzywione mam obcasy  
I zacerowane spodnie.

Mąż twój w jasnym garniturze,  
Leżąc w cieniu na fotelu,  
Pije zimną limonjadę —

I artykuł długi czyta  
O tem, że jest mądry, słynny,  
Znakomity i genialny.

A ja, nędzny i spieczony,  
Chodzę czarny w skwarnem mieście,  
Ścieram kurz i pot i troskę  
Z ostrej twarzy niegolonej.

W domu kładę się gorący  
Na kanapę ceratową  
I rozmyślam, jak tu zacząć  
Sto dwudziesty list do ciebie.

Leżę czarny i zmęczony,  
Aż mnie ciężki sen zabija,  
A gdy budzę się — jest wieczór  
Różowawo-popielaty.

Więc wychodzę, chodzę, chodzę  
I wrykuję się w kamienie,  
Płaczę, lecz udaję katar  
Przed znajomym napotkanym.

Å ty z męæem po kolacji  
Pijesz wino przy stoliku,  
Uwerturę „z Orfeusza“  
Gra orkiestra uśmiechnięta.

Wszyscy wam się przyglądają,  
Podziwiają twą urodę,  
O talencie twego męża  
Szeptają z wielką rewerencją.

Mąż twój, rzewnie podchmielony,  
Mówi wreszcie: czas do domu...  
Wychodzicie roziskrzeni,  
I mąż trzyma cię pod ramię.

Å ja, czarny, na ulicy  
Kombinuję, kombinuję:  
„Jeśli w czwartek list wysłałem,  
To już mogła być odpowiedź“ ...

— — — — —  
Słuchaj — uderz męża w mordę  
I wybiegnij w noc pod gwiazdy,



Pomyśl o mnie, przedstaw sobie  
Mnie, straszego chłopca z Łodzi!

Bo ja krzyczę tam z tęsknoty  
I wyteżam senne oczy,  
I zgarbiony, siedzę, piszę,  
Piszę groźny list do ciebie!

Ja nie wiem jak to było. Czy w drganiu świec  
półjasnem,  
Czy w mrok, ku przerażeniu zdrętwiałych nagich  
ścian,  
Lecz groźne niebo wtedy wisiało nad tem miastem,  
Podarte, pobluzgane, jak krwią z morderczych  
ran.

Stalowy łośkot walił po szynach tramwajami,  
Kołami, kopytami po bruku turkot tłuł,  
I dwa miliony ludzi ruszały ulicami,  
Jak z lufy, tłumem strzelał przecznicy każdy róg.

A ostre, białe blaski nerwowo dygotały  
W drucikach rozpalonych, w matowych kloszach  
lamp,  
Splątały się kierunki i wir i aut sygnały...  
Jak film, zdyszanem tempem skandował miejski  
jamb.

O, gdzieś Ty się zgubiła w tej ciżbie, w tym  
rozgwarze?

Jakiemi ulicami i w której sukni szłaś?

Oczyrna cię goniły te wszystkie obce twarze  
I ja, i ja, daleki, twój rozplakany paż.

Oczyrna cię goniły te wszystkie twarze obce,  
Krzycały Tobie: nie chodź! Krzycały Tobie: nie!!  
Zawarło sojusz Miasto z dalekim śmiesznym  
chłopcem

I wrzaskiem, trzaskiem, blaskiem smagało kroki  
twe!

Ty szłaś, ty szłaś, młodziutka, złotawa, falująca,  
W wieczorze roztopiałaś fiołkowy z lęku wzrok,  
Targała miastem wściekłość gorąca, kotłująca  
I przestrzeń z bólu wyła, do krwi ją darł twój krok.

Jak myśl o aksamicie, jak cień jedwabnej sukni,  
Płynęłaś bezpamiętna, za krokiem krok twój nił,  
I tylko coś dzwoniło, dzwoniło coraz smutniej:  
Z daleka tak, zdaleka mój święty dzwonił krzyk!

Całowałem usta Twoje, całowałem je w ciemności, w czarnym aksamicie miłosnej nocy... Całowałem usta Twoje i wyczuwałem wargami czerwień ich...

W białych, gorących opłotach Twoich zamknąłem oczy. Zamknięte oczy widzą nieskończoność, ogromną, ogromną dal... Chwile stały się melodją, w rytm której tańczyła purpura i czerń, niby dwa szale jedwabne, wiewne, gasnące... tańczyły daleko, w nieskończoności oczu zamkniętych...

A potem była mroźna noc, jasno-niebieska cicha noc zimowa. Szedłem — lekko upojony, jakby odurzony błękitnym aromatycznym likierem, zaprawionym brylantową kroplą mroźnej, mlecznej jaśni księżycowej, która kapnęła do smukłego kieliszka, opalizując i skrząc się fantastycznie...

I idąc tak naprzód w upojeniu, przymyka-

łem oczy i znów widziałem daleki gasnący taniec... Byłem tak nieziemsko szczęśliwy, że uczułem, iż staję się czemś bezcielesnym i płynę jak światło... Uczucie to było tak rzeczywiste, że, poślizgnąwszy się, miałem wrażenie, że się potknąłem o cień gałęzi, zwieszającej się z za parkanu ogrodu...

A teraz usnę. — z uśmiechem szczęścia na zmęczonych wargach... szepczących słodkie Twoje imię. Dobranoc!

Te banalne walce kawiarniane  
Urastają w tragiczne psalmodje!  
Myśli moje, tańczące, pijane,  
Ciebie w smętne wplatają melodje.

O, jak wyją te straszne walczyki,  
Jak cię szarpia, wplecioną w męczarnię!  
Oczy moje, jak ostre okrzyki,  
Przeszywają gorącą kawiarnię!

Pięścią walę! Kurcz ściska mi palce!  
Spazm tęsknoty (—o, przyjdź!—) w gardle duszę!  
I te głupie kawiarniane walce  
Rozpinają mi na krzyżu duszę!

Potem konam przy Tobie, kochance,  
Co z tortury tych walców mnie wzywa,  
Aż nas wreszcie, przy którejś-tam szklance,  
Czarny sen, czarny wichur porywa.

W sierpniowy cichy zmierzch  
Fryzjer cesał żonę.  
Melodjami na dłonie opadły  
Włosy znużone.

Złoty jedwabny deszcz  
Przez palce spłynął do ziemi,  
Fryzjer-wizjoner krzyczał  
Oczyma zakochanemi!

On widział ogromną dal,  
Gnał triumfalnym pędem,  
Na strzepy gniewnie darł  
Mgły złote mojej legendy.

Wysoko podniósł pięść  
I krzykiem ostrym Cię sławił!  
(Szukałem ciebie w mgłach,  
Cios jego twarz mi skrwawił!)

A potem krwawą dłoń  
Zanurzył w złote rozploty  
I grał na włosach pieśń  
I święty był  
I płakał z mojej tęsknoty!



W dzień jest wietrznie, słonecznie  
i wrześniowo złociście  
Nocą wiatr ociemniały suche przewraca liście.

Wiatr śpiewak swe tęsknodje zawodzi triste, triste,  
O, polonezy żalu — szelestne, posuwiste!

Czasem w szyby uderzy rozpaczliwym porywem,  
Jęknie w ramie okiennej przypomnieniem  
tęskliwem:

„Rozsyp, rozsyp się liśćmi złocistemi po ziemi,  
Ja tak proszę, tak płaczę pod oknami twojemi“.

Ja go słuchać nie mogę, gdy tak błaga i płacze,  
Bo mi bledniesz, bo serce rozdzwonione ci skacze.

Słyszysz? słyszysz? znów szłocha, za oknami  
znów wzdycha,

Nie, nie wyjdiesz, zostaniesz... On tam przy-  
klął, tam czyha...

Runę w noc jego ślepa, w jego płacz uprzykrzony,  
Nożem w ciemność uderzę — i nóż będzie  
skrwawiony!

Klękam, rozwieram ramiona na Twoje przyjęcie: głowę wtył odrzucam, przymykam oczy i rozchylam usta... Słyszę szelest... już idziesz... dolatuje mnie upojny zapach ciała ciepłego... promienie oczu Twoich muskają mnie po twarzy... Przeczuwam... wiem: to będzie pocałunek wieczny, pocałunek Sfinksa z obrazu Stucka. Na piersi swej poczuje Ciebie, Kobieto. A kiedy przyłgniesz do mnie — rozedmę, wyprężę pierś, aby się stała granitem i stałą: toć będę Ziemię dźwigał — Ciebie, święta glebo Miłości!

Już utonęły wargi nasze w sobie... Wsparałaś się o mnie, Wieczna!...

— I rozdwoiła się na mnie Ziemia w krągłe, sprężyste, żywotne piersi Twoje...

Z niewiadomego rozkazu nagle wyciągam  
ramię, by objąć świat:  
I obejmuję Twą kibić — życiem uderza silnie  
w tętnicach krew!  
Szybko oddycham z radości, cieszy mnie  
mocnych piersi dojrzały sad  
I prężne, owocne biodra, pełne, krągłe, jak  
trzony wiosennych drzew.

Urodna, rodna, miłosna, kwitniesz w opłoty  
moje na żądny zew!  
Przyjmiesz mnie w siebie z triumfem, krwią  
zakotłuje w sercach gwałtowny szal.  
W śródbiedrze, siejby spragnione, tryśnie  
wyczekiwany żywotny siew!  
I mnie i Tobie pochwała! Pochwała sprawie  
dwojga tworzących ciał.

Wybuduję tobie dom zielony,  
Dom zielony, bielony, brzozowy,  
Do połowy winem ocieniony,  
Malowany słońcem do połowy.

Å w tym leśnym, w tym drzewnym kościele  
Będzie kwitnąć twoje białe żeństwo,  
Tam sprawimy wesołe wesele,  
Odprawimy drzewne nabożeństwo.

Ledwo błysnie i zapachnie ranek  
Rosą, miętą, ptakami, oskołą,  
Rozgłaskana wyśmiejesz na ganek  
I zawołasz daleko, wesoło!

Do rozpuku odśmieję się w borze  
I przybiegnę zadyszany w goście  
I szeroko ramiona otworzę  
Dwojgu piersi w owocnym rozroście.

Będę z ziemi rósł wygałęziony,  
Jeden z tobą, jak drzewne rodzeństwo,  
I w gałęzie twych ramion wpleciony,  
Wrosnę, wrosnę w twoje białe żeństwo!

Ojczyzną moją jest Bóg,  
Duch, Syn i Ojciec wszechświata.  
Na każdej z moich dróg  
Ku Niemu dusza ulata.

Ojczyzną moją jest łan,  
Łan Polski, prostej, serdecznej.  
Niech mi pozwoli Pan  
W nim znaleźć spoczynek wieczny.

Ojczyzną moją jest dom,  
Kochany dom rodzicielski,  
Przytułek cichym snom  
Młodości sielskiej-anielskiej.

Patrzę, strudzony wśród dróg,  
W oczu twych błękit przeczysty,  
I jest w nim wszystko: i Bóg,  
I Polska i dom ojczysty.





## S P I S R Z E C Z Y:

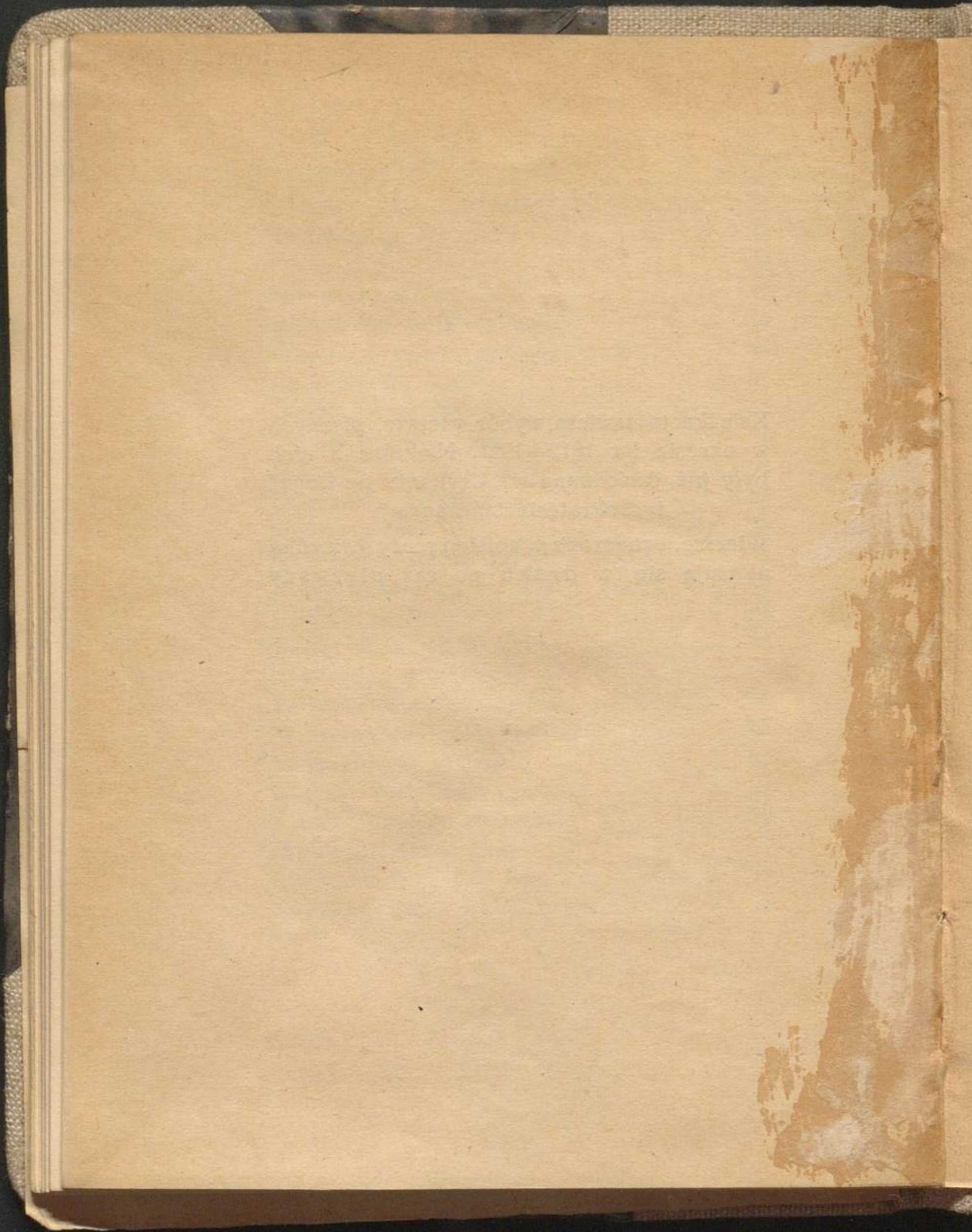
	Str.
Oddać ci wszystko . . . . .	7
* Miałem słoneczny gościniec . . . . .	8
* Uderzył wieczór złoty . . . . .	9
* A jeżeli nic . . . . .	10
Moje życie miało imię dziewczęce . . . . .	11
* Rzuciłbym to wszystko . . . . .	12
* Taki to już los mój . . . . .	14
* Już mi jest wszystko jedno . . . . .	15
* Wyratuj ty mnie z męki . . . . .	16
Nie mogę Ci powiedzieć . . . . .	18
Śnieg pada . . . . .	19
* Zadumy moje ciche . . . . .	20
Niczyj ja jestem . . . . .	21
* Ty trzymasz mnie na ziemi . . . . .	23
Tylko te chłodne . . . . .	24
* Wyglądasz zupełnie . . . . .	25
* Stoję na balkonie . . . . .	27
Wiem... siadłaś teraz przy oknie . . . . .	27
* A możebyśmy tak, jedyna . . . . .	30

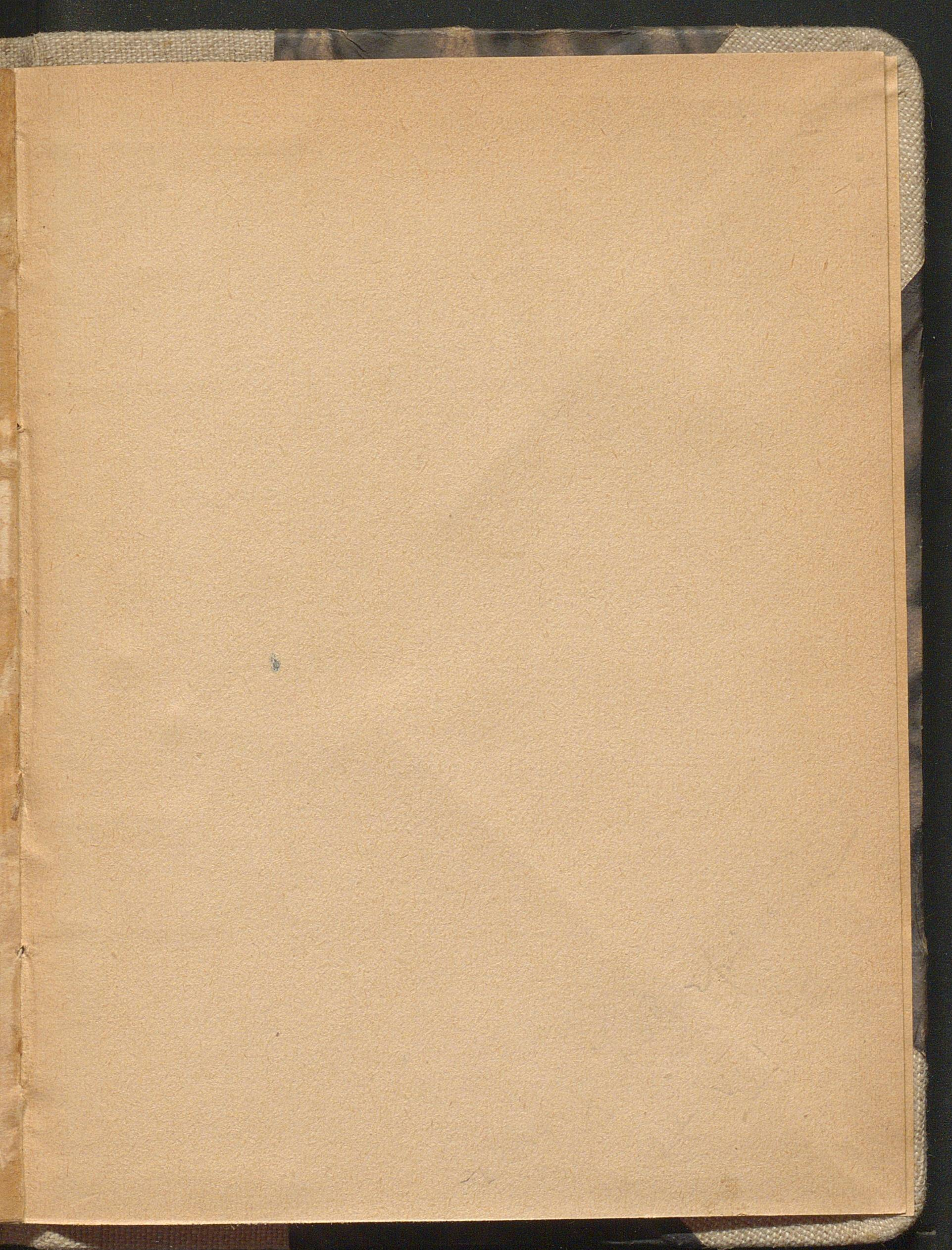
	Str.
Z cyklu „Legenda aurea“, 2, 3, 5, 12 .	32
* Rozciągnęła się nuda . . . . .	40
* Do twej piersi . . . . .	42
Nie wiesz o tem . . . . .	43
Uparła się moja tęsknota . . . . .	44
* Ciemnych irysów dostałem pęk . . . . .	46
* Śniło mi się . . . . .	47
* Warto, warto żyć . . . . .	49
* Ty jesteś moją żoną . . . . .	50
Przyszła ciszą miłosierna ksieni . . . . .	51
* Doprawdy, żyję bardzo . . . . .	53
Siostro-wiosno . . . . .	54
Najgłębszą głębią ducha . . . . .	55
* Przyjdiesz nocą . . . . .	56
* Jesteś z mężem . . . . .	58
* Ja nie wiem jak to było . . . . .	62
Całowałem usta Twoje . . . . .	64
Te banalne walce . . . . .	66
* W sierpniowy cichy zmierzch . . . . .	67
* W dzień jest wietrznie . . . . .	69
Klękam, rozwieram ramiona . . . . .	71
Z niewiadomego rozkazu . . . . .	72
* Wybuduję tobie dom . . . . .	73
Ojczyznę moją jest Bóg . . . . .	75
Zmęczony burz szaleństwem . . . . .	76

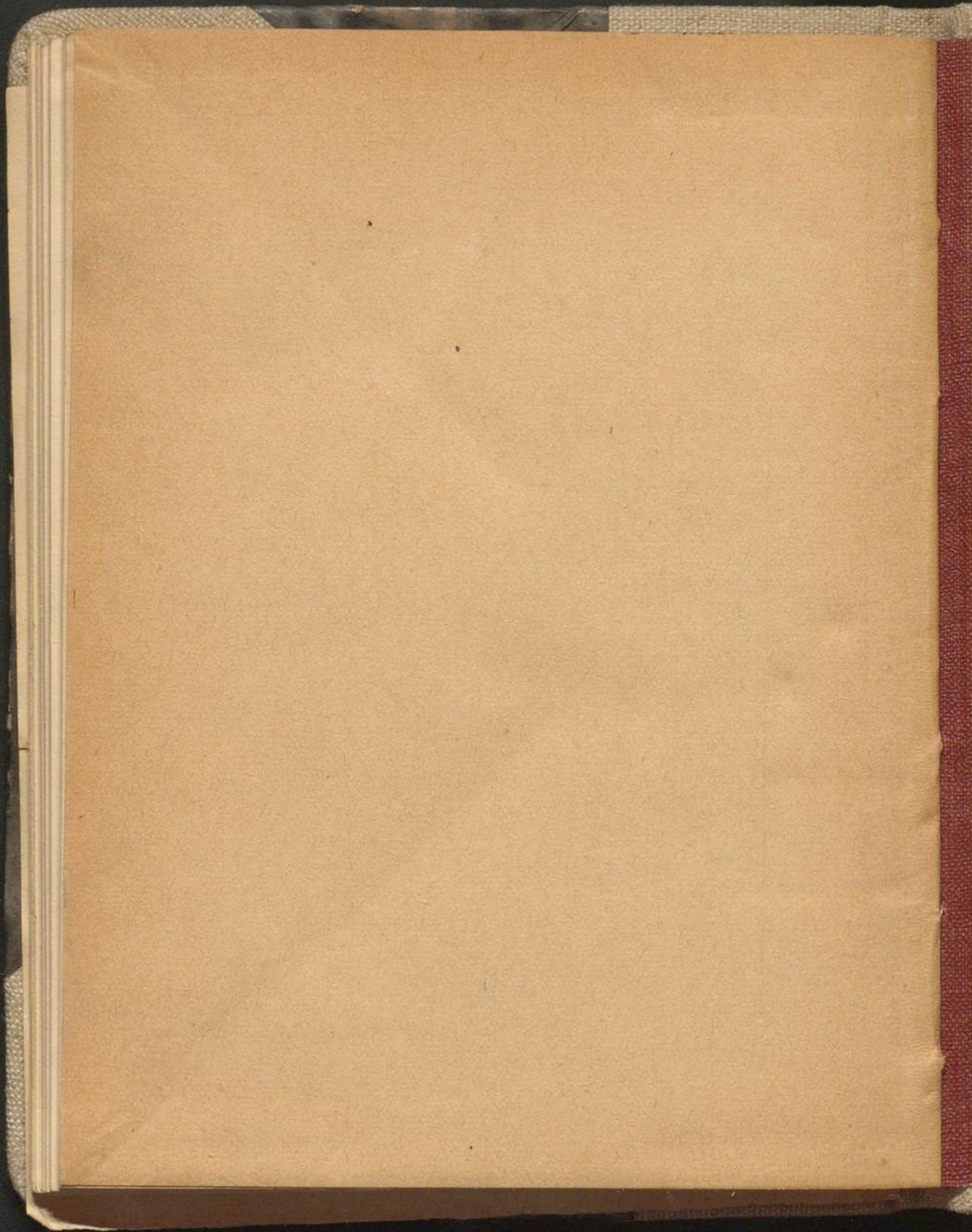


Książka ta zawiera wybór wierszy, pisanych  
w okresie lat 1912—1921. Niektóre z nich  
były już drukowane w „Czyhaniu na Boga“  
i „Sokratesie tańczącym“

Wiersze, oznaczone w spisie rzeczy gwiazdką  
ukazują się w druku po raz pierwszy







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001026218449

*Stary zasób  
3. X. 46.*



BIBLIOTEKA  
NARODOWA

503810